

M. STAWIEZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

20

I.

W dniu te, nachmurzona, niechętna, nie kryjąc wcale swojego niezadowolenia, zmuszona do towarzyszenia matce, Kazi odpowiadała półsłówkami, zimna na ciągle zaczepki Markiewicza, który w próżności swojej sadił, że zbliżenie się jego działa tak oszałamiająco na nią.

— Niech się tylko oswoi z myślą, że będzie moją żoną, — mówił niedbale, wydymając usta — a wszystko będzie dobrze. Urobię ją sobie potem, jak tylko zechcę.

Pogoda tego lata dopisywała szczególnie. Dnie były pogodne, słoneczne, ożywcze, podniecające nerwy; powietrze, płynące z gór, dodawało wszystkim energii i ochoty na coraz dalsze, pełne urozmańczenia wycieczki i coraz głośniejsze i swobodniejsze zabawy, od których wieczerem rozbrzmiewało całe Zakopane.

Hrabia Guccio, zasiliwszy się na czas jakiś sumą, wyludzoną od Gawlika, w pierwszych dwu tygodniach po osiedleniu się pał w Zakopanem, przyjeżdżał dosyć często odwiedzać Kazię, przywożąc olbrzymie pudła cukrów i jeszcze więcej olbrzymie bukiety, którymi Kazia nie omieszkala za każdym razem pochwalić się przed wszystkimi gośćmi pensjonatu.

— Bukiety od narzeczonych wychodzą już z mody — wycodziła raz Wikta Szulcówna, z intencją patrząc w stronę Kazi, kiedy raz po obiedzie część towarzystwa wyszła na werandę. — Zwyczaj ten staje się już bardzo „mauvais genre”.

— Chyba dla tych na zeczonych, którzy nie mogą sobie pozwolić na taki wydatek, lub dla skończonych skapców, o których wiadomo wszystkim — odcięła się Kazia, czerwona z oburzenia.

— No, widziała mama coś podobnego — wybuchnęła do matki, kiedy znalazły się w mieszkaniu. — Zazdrość ją rozpiera, bo ten jej zdechły hrabia biletu do teatru nawet jej nie przysłał i publicznie chce mi robić afronty.

— Możebyśmy lepiej wyprowadziły się do innej willi — zaproponowała Gawlikowa, sadowiąc się wygodnie w bujającym fotelu. — Ta Wikta zaczyna sobie zanadto pozwalać. Czyś nie zauważyła, że w ostatnią sobotę hrabia Guccio jak tu był, ukłonił się jej, kiedyśmy siadali do obiadu, a ona się tak do niego uśmiechnęła, że aż jej te wszystkie wprawione złote zęby było widać.

— Co też mama mówi? — rzuciła się Kazia, jak gdyby ukaszona przez żmiję. — On się jej ukłonił, a ona się uśmiechnęła. Czegoż mi mama wcześniej o tem nie powiedziała! Bezcelna dziewczyna! Boi się może, żeby ją trzepła główka nie puściła, to zabiega już o drugiego. Ah! niedoczekanie twoje! Już ja sobie z nią poradzę, może mama być spokojna! Na całe życie odechce się jej wtrącania nie w swoje rzeczy!

— Dajże spokój Kazia — uspokajała ją Gawlikowa, wystraszona, że przez jej nieogłędne słowa wybuchną może jaka niepożądana awantura w pensjonacie. — On się może ukłonił przez grzeczność, bo przecież wie, że się znacie, to jeszcze nic wielkiego.

— Nic wielkiego! — zaperzyła się Kazia, przyskakując do matki. — Nic wielkiego! A sama mama mówiła, żeby się stąd wyprowadzić, bo Wikta coś machluje! Ani mi się śni! Ani na krok sąd nie ustąpił! Właśnie zostanę tutaj, żeby jej popsuć sztyki! Widział to kto! Małpizson jeden!

Od tego dnia coś się psuć na dobre zaczęło w codziennym życiu pensjonatu.

Kazia, dotrzymując obietnicy, na każdym kroku dokuczała swoim sąsiadkom, buntując pierwszą część gości, będących po jej stronie przeciwko Wikcie i jej matce. Potworzyły się więc teraz dwa obozy, ciągle podstępnie walczące z sobą. Kiedy projektowano jaką wycieczkę, do której należeć miało całe towarzystwo, Kazia odzywała się ostentacyjnie, że nie bierze w niej udziału, bo wcale nie ma ochoty stykać się z córką rzeźnika bez kultury i wychowania.

Tem samem odpłacała jej się Wikta, wykrzykując głośno po pensjonacie o świeżo nabytym majątku Gawlika i o przeszłości całej rodziny, wywodzącej się z brudnego sklepiku z masłem i śledziami.

Kazia szalała ze złości. Zaniedbywać się zaczęła w ubraniu, wysiadując całemi godzinami w wymiętym szlafroku w trzcinowym fotelu na werandzie swojego mieszkania, pogrążona w planowaniu dosadnej zemsty, którą raz na zawsze skłoniła Wikcie Szulcównę do milczenia.

Pewnego dnia Gawlikowa z Kazią, bo Stasia wymówiła się bólem głowy, wybrały się znudzone i poirytowane na wieczorną muzykę



— O wał patrzcie ja! marmuzela! — uniosła się dziewczyna, mierzając ją pogardliwym spojrzeniem.

do Płonki. Towarzyszył im przybyły właśnie z Krakowa bardzo sympatyczny młody człowiek, z którym Kazia, pewna już swojej roli narzeczonej, flirtowała na zabój, na złość Wikcie.

Zaledwie zajęły miejsce przy stole, kiedy podeszła do nich usługująca dziewczyna i wpatrzywszy się chwilę ze zdziwieniem w Gawlikową, zawołała podniesionym głosem, jak gdyby uradowana ze spotkania:

— Oh! kogo ja widzę! Pani Gawlikowa! A pani co tu robi? I w takiej paradzie! To pani już rzuciła ten sklepik na Felicjanek! Powiodło się pani Gawlikowej — co? Nie poznaje mnie to pani? Zachodziłam przecież często do pani po sprawunek i na gawędę! Nie pamięta pani! Małka Gradałówna, tatuś był szewcem w kamienicy. Nastawiałam ja się pani i pannie Kazi dosyć kabał swojego czasu! A zawsze wychodziło wielkie powodzenie i majątek!

Pod nawalem tych słów twarz Gawlikowej spąsowiła jak piwonka, tak, że zdawało się, iż uderzenia dostanie do głowy. Chwilę dłuższą chwylała ustami powietrze, nie mogąc przemówić. Kazia zaś blada, wściekła, obejrzała się po sali, chcąc się przekonać, czy kto nie zauważył tego zajścia i serce zamrło w jej piersiach.

Niedaleko nich przy stoliku siedziała Wikta z matką i wyzywająco przypatrywała jej się przez szyldkretowe „pince-nez”. Na twarzy jej osiadł szatański uśmiech nieukrywanej radości i zadowolonej zemsty.

Tego już było dla Kazi za wiele. Nie czekając na opamiętanie się matki, syknęła z wściekłością do zadziwionej dziewczyny:

— Panna chyba oszalała! Proszę stąd odejść i nie napastować przyzwolitych gości! Pożalę się gospodarzowi i każę mu wyrzucić pannę z lokalu!

— O wał patrzcie ja! marmuzela! — uniosła się dziewczyna, mierzając ją pogardliwym spojrzeniem. — Dochrapało się tam czegoś na krzywdzie ludzkiej i uczciwym człowiekiem pomiata. Zapomniał wół, jak cieleciem był! Poczekaj, księżniczko, będziesz jeszcze cebulę sprzedawać, będziesz! Hołota dziadowska. — Spojrzała wokoło jak gdyby chciała wziąć za świadków tej sceny i wzruszywszy ramionami, wyszła zamasyście ze sali.

— Chodźmy stąd, mamó, chodźmy — jęknęła Kazia nieprzytomna ze wstydu i złości. — Noga moja więcej tu nie posłanie! Ładny lokal, gdzie kelnerki obrażają gości!

Rzuciła na stół pieniądze i popchnęła matkę przed siebie, nie obejrzaawszy się za swoim eleganckim towarzyszem, który zmieszany pozostał na miejscu, nie wiedząc, co począć z sobą.

— Ah! — westchnęła ciężko, kiedy znalazły się na ulicy. — Tego już za wiele! Przysięgnę, że ta dziewczyna to zrobiła za namową tej jędzy, Wikty! Musiała ją przekupić!

— Ale kiedy Kaziu, ta dziewczyna naprawdę przychodziła do sklepiku — odparła z całem przekonaniem Gawlikowa, biegnąc zadykana za Kazią. — Nie pamiętasz to jej! Czasem i na kredyt coś nie coś dać musiałam, bo to u nich zawsze bieda była... a jakże.

Kazia z błyskawicami wściekłości w oczach zwróciła się do matki:

— Ma się też mama z czem chwalić! Wszystko to stało się przez mamę! Mama zawsze z byle kim bratać się lubiła! Trzeba było może zaprosić ją do stolika, ugościć, rozgadać się, jak to mama poirafi! Ah! Boże, mój Boże! — jęknęła rozpaczliwie. — Ja nie przeżyję takiego wstydu. Ta dyablica tryumfuje tam teraz!

— Moja Kaziu, uspokój się — upominała ją Gawlikowa. — Gadasz na mnie, a sama teraz krzyki po ulicy wyprawiasz! Płuń ty raz na tę Wikte! A ona co to? Stary nie był to rzeźnikiem, a ona boso nie latała po szlachtyzie! Cóż takiego wielkiego, że ten nieszczesny sklepik miałam. Dosyć on nam już nadokuczał! Pozbyliśmy się go teraz, to niema o czem gadać. Jak zostaniesz panią hrabiną, to wszystkim pyski pozamykasz! Nie denerwuj się tylko Kaziu, bo cerę stracisz i zbrzydniesz.

Ten argument najsilniej przemówił do przekonania Kazi. Przełaziła twarz batystową husteczką i odezwała się już spokojniejszym głosem:

— Temu panu wytlómaczyć trzeba będzie, że to była jakaś pomyłka, ta dziewczyna wzięła nas za kogo innego. Ale musimy się teraz jakoś inaczej postawić w pensjonacie, bo, że ci Szulcowie dolki pod nami kopią, to pewna. Widziała mama, jak się ta szelma śmiała z nas — przypomniała sobie znowu Kazią! — Tak bym jej była to ślepie wydarła, że no!

— Jakże ty chcesz, żebyśmy się jeszcze lepiej postawili? — zagałała Gawlikowa, chcąc odwrócić myśli Kazi od tego nieszczęsnego zajścia. — Zrobiliśmy wszystko, co tylko było możliwe. Zajęliśmy najdroższe pokoje, bez targu żadnego, pokojową przywieźliśmy ze sobą. Franciszkowi każę co tydzień przyjeżdżać, żeby tu wiedzieli, że mamy lokaja, ciągle fiakrami się rozbijamy, służbie się oplacamy po pańsku. Czy to mało jeszcze?